

PROROCZA WIZJA AGONII EUROPY



OBÓZ ŚWIĘTYCH

JEAN RASPAIL

FRONDA

OBÓZ ŚWIĘTYCH

Jean Raspail

**OBÓZ
ŚWIĘTYCH**



Z francuskiego przełożył Marian Miszański

FRONDA

Tytuł oryginalny
Le camp des saints

Okladka
Radosław Krawczyk

Zdjęcia wykorzystane na okładce:
fotolia.com © Warren Goldswain
Łukasz Jarowski/EAST NEWS

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Korekta
Katarzyna Szol

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

Copyright © Editions Robert Laffont, Paris 1973. All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation by Marian Miszalski
& Wydawnictwo Dębogóra.
Copyright © for this edition by Fronda PL, Sp. z o.o.

ISBN 978-83-64095-42-9

Wydawca
Fronda PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

A gdy dobiegnie końca tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony. I wyjdzie, by omamić narody z czterech narożników ziemi, Goga i Magoga, by ich zgromadzić na bój, a liczba ich jak ziaren piasku morskiego. Wyszli oni na powierzchnię ziemi i otoczyli obóz świętych i miasto umiłowane...

Apokalipsa św. Jana 20,7–9*

Możemy szukać razem nowego stylu życia, który uczyni możliwym zapewnienie środków do życia ośmiu miliardom istot ludzkich, jakie zamieszkiwać będą naszą planetę w roku 2000. Jeśli nie, żadna ilość bomb atomowych nie powstrzyma wielkiego napływu tych miliardów ludzi, którzy pewnego dnia wyruszą z biednych regionów śródziemnomorskich i wtargną na względnie otwarte przestrzenie półkuli północnej, poszukując środków na przeżycie.

Prezydent Huari Bumedien, marzec 1974 roku

Teraz pytanie brzmi: w jaki sposób zamierzamy ułożyć pokojowe stosunki z ważną grupą, która odtąd stanowi część państwa francuskiego, która ma prawo być tym, czym jest, bo jest to sytuacja faktyczna, którą zaakceptowaliśmy i której chcieliśmy? Jakie zamierzamy wymyślić sposoby wewnętrznego współżycia we Francji, które uczyniłyby możliwym takie współżycie w miłości i poszanowaniu wolności każdego? Jest to zadanie pokoleń, które nadchodzą.

Kardynał Jean-Marie Lustiger, kwiecień 1984 roku

* Wszystkie cytaty biblijne za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu (Biblia Tysiąclecia), wyd. V, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2002.

WSTĘP

Nie ma dla pisarza bardziej niewdzięcznego tematu niż przyszłość. Zwłaszcza przyszłość w miarę nieodległa – trzydzieści, pięćdziesiąt lat. Jeśli przewidzi źle, jego dzieło skwitowane zostanie uśmieszkami politowania. Jeśli dobrze, może zostać podwójnie odrzucony. Najpierw przez swych współczesnych (bo trafna prognoza z zasady idzie pod prąd potocznym wyobrażeniom i trąci polityczną niepoprawnością), a następnie przez potomnych, którzy powiedzą, że wszystko to przecież już dawno wiadomo.

Na taki los naraził się Jean Raspail, wydając w roku 1973 *Obóz świętych*. W chwili pierwodruku powieść została odtrącona i przemilczana przez postępowe salony. Dziś bywa zaś zbywana jako może i słuszna, ale właśnie dlatego już nieciekawa publicystyka. Rzecz dzieje się na początku wieku XXI, a zabawnym smaczkiem jest fakt, że powieściowy papież nosi imię Benedykt XVI, choć ma akurat odmienne poglądy od kardynała Ratzingera.

W nękanym głodem i epidemią Indiach pod wpływem wystąpień szalonego filozofa, zresztą przybysza z Europy, setki tysięcy ludzi opanowują siłą statki, łodzie, barki i na oślep, niepowstrzymaną falą, ruszają ku Europie. Przypadkiem celem tej nowej wędrówki ludów staje się ojczyzna autora, ale nie o nią tu w sumie chodzi, tylko o cały zgnuśniały w dobrobycie i ogłupiały Zachód, który wobec tej nagłej inwazji okazuje się całkowicie bezradny. Nikt nie ma przecież odwagi wydać rozkazu strzelania do tłumów. Mieszkańcy

dotkniętych inwazją terenów uciekają w panice i na oślep, z kolei na tereny te ciągną tłumy ochotników rewolucji, węszących okazję do obalenia starego świata. Media plotą o tolerancji i sprawiedliwości dziejowej, postępowi księża o zbliżającym się do Europy „milionie Chrystusów”, rodzą się z dnia na dzień rewolucyjni przywódcy i hasła, armia francuska i aparat państwowy dosłownie się rozbiegają... Aż kipi tu od ironii i charakterystycznych szczegółów – znać, że miał jeszcze Raspail przed oczami komunistyczne ruchawki na uniwersytetach w 1968 roku. Sami Hindusi prawie się w powieści nie pojawiają, autor zresztą nie ukrywa, że byli pretekstem do napisania przypowieści. Jego interesuje rozkład białej cywilizacji, która straciła wiarę oraz ducha i jako taka musi ustąpić miejsca innym. Innym, którzy nie marnując zbyt wiele energii na filozofowanie, uważają, że skoro są głodni i bezdomni, mają prawo zabrać jedzenie i żywność bogatym. Zwłaszcza że są silni i zdeterminowani, a biali słabi i tchórzliwi.

Takie streszczenie mogłoby pasować do prostej, politycznej agitki – ale kilkusetstronicowe dzieło Raspaila ma znacznie większą wagę. Autor zdaje sobie doskonale sprawę z umowności powieściowej wędrówki ludów, w rzeczywistości wszak rozciągniętej w czasie, z historycznych oraz kulturowych kontekstów tej kolejnej literackiej apokalipsy. Opowieść o konającej w imigracyjnych konwulsjach Francji jest zarazem opowieścią o upadku Rzymu i Bizancjum, o wellsowskich Elojach i Morlokach, o rewolucji bolszewickiej i może najbardziej – o Kościele Dni Ostatnich. To suma lęków wspólnych wymierającym cywilizacjom.

Łowcy sensacji nie znajdują tutaj odniesień do płonących francuskich przedmieść, ale oczywiście wydarzenia ostatnich miesięcy nadały książce nowy kontekst. I dopiero one zniosły polityczne tabu, które Raspail miał odwagę złamać już ponad trzydzieści lat temu.

Rafał A. Ziemkiewicz, „Newsweek” 01/2006

PRZEDMOWA DO WYDANIA TRZECIEGO

Obóz świętych – opublikowany po raz pierwszy w 1973 roku – jest powieścią, która uprzedza zdarzenia prawdopodobne już dziś i zagrożenie, którego możliwość nie wydaje się już nikomu nieprawdopodobna: opisuje pokojowy najazd nieprzebranych rzesz mieszkańców Trzeciego Świata na Francję, a potem na cały Zachód. Na wszystkich płaszczyznach – powszechnej świadomości, działalności rządów, równowagi międzycywilizacyjnej, a zwłaszcza indywidualnego sumienia – rodzi się spóźnione pytanie: co robić? Co robić – skoro nikt nie jest gotów wyrzec się swej ludzkiej godności za cenę przyzwolenia na rasizm? Co robić – skoro jednocześnie każdy człowiek i każdy naród ma święte prawo do zachowania odrębności i tożsamości w imię swojej przyszłości i przeszłości...?

Nasz świat ukształtował się pośród nadzwyczajnej różnorodności ras i kultur, które mogły się rozwijać – często osiągając najwyższą i specyficzną doskonałość – tylko wskutek koniecznej, faktycznej segregacji. Wynikające z niej konflikty – a zawsze miały one miejsce w historii – nie są konfliktami rasistowskimi ani nawet rasowymi. Są po prostu elementem składowym odwiecznego ruchu ścierających się ze sobą sił, a w tym starciu wykuwa się historia świata. Słabsze siły tracą impet, zanikają i potem znikają, silniejsi rosną w siłę, zwyciężają.

Zachodni ekspansjonizm na przykład – od czasu wypraw krzyżowych i wielkich odkryć geograficznych aż po

epopeję kolonialną i ostatnie bitwy jej ariergardy – kierował się bardzo różnymi pobudkami: moralnymi, politycznymi, gospodarczymi, ale nie było pośród nich rasizmu i nie odgrywał on w tej ekspansji żadnej roli, z wyjątkiem, być może, prywatnych motywacji pewnych nikczemników. To, że Zachód najczęściej zaspokajał swoje potrzeby kosztem innych ras – a przecież wskutek tych kontaktów wiele z nich uratowało się od zagrażającego im śmiertelnego zgnęśnienia... – było jedynie konsekwencją naszej żądzy podbojów, nie zaś ich ideologicznym motywem czy usprawiedliwieniem. Dziś, gdy stosunek sił jest diametralnie odmienny i gdy stary Zachód znalazł się na tej ziemi w tragicznej mniejszości, gdy wycofuje się za coraz słabsze mury obronne, przegrywając już bitwy na własnym terenie, i gdy zaczyna słyszeć, zdumiony, głuchy szum potężnej fali napływowej, zagrażającej jego zalaniem – trzeba przypomnieć napis umieszczany na tarczach dawnych zegarów słonecznych: „Jest już później, niż myślisz”... Te słowa przywołał w związku z *Obozem świętych* Thierry Maulnier. Pozwolę sobie również zacytować profesora Jeffreya Harta z Uniwersytetu w Princeton, znanego amerykańskiego krytyka i publicystę: „Raspail nie zajmuje się problemem rasy, zajmuje się problemem cywilizacji”.

Obóz świętych jest powieścią symboliczną, niejako proctwem pisany w rytmie inspiracji, którą nazwałbym natchnieniem: bo jeśli którakolwiek z moich książek mi się „objawiła”, to właśnie ta. W innym przypadku, skąd, u licha, miałbym odwagę, żeby ją napisać? Po osiemnastu miesiącach katorżniczej pracy nad tą książką byłem kompletnie wyczerpany; przyglądam się swojej fotografii na obwolucie pierwszego wydania z 1973 roku: twarz wymizerowana, jakby o dziesięć lat starsza, spojrzenie człowieka udręczonego przez swoje wizje... Jednak w *Obozie świętych* moją prawdziwą naturę odzwierciedla humor, zdrowy szyderczy śmiech, tragizm podszyty komizmem, wesołość, która jest lekarstwem na tę apokalipsę. Zawsze twierdziłem, że –

wbrew tematyce – *Obóz świętych* nie jest książką ponurą i jestem wdzięczny tym, którzy jak Jean Dutourd, potrafili to dostrzec: „Jeśli nasz Zachód stał się klaunem, jego końcowa tragedia byłaby tylko błżeństwem – napisał. – Dlatego ta straszna książka jest w istocie tak komiczna”...

Wracając do tematu *Obozu świętych*: ma on charakter symboliczny, ale nie utopijny, **już** nie utopijny. Jeśli jest tam jakieś prococtwo, to obserwujemy dziś pierwsze znaki jego spełnienia. Po prostu w *Obozie świętych* akcja potraktowana została tak, jak w antycznym dramacie: jest tu jedność czasu, miejsca i akcji, wszystko rozgrywa się w ciągu trzech dni na południowym wybrzeżu Francji, gdzie przypieczętowany zostaje los świata białych. Chociaż w świecie rzeczywistym proces ten jest już mocno zaawansowany i od 1973 roku przebiega dokładnie według opisanych w książce mechanizmów (boat people, radykalizacja społeczności muzułmańskiej we Francji, nasilająca się presja psychologiczna najrozmaitszych „obrońców praw człowieka”, pogłębiający się kryzys doktrynalny na tle odmiennego głoszenia Ewangelii przez odpowiedzialnych za to duchownych, fałszywa „anielskość” sumień, odmowa spojrzenia prawdzie w oczy etc.) – rozwiązanie nie nastąpi, rzecz jasna, w ciągu trzech dni, ale dokona się, to niemal pewne, po licznych konwulsjach, w pierwszych dekadach trzeciego tysiąclecia, za życia zaledwie dwóch czy trzech pokoleń. Gdy wiemy, co w naszej starej Europie znaczy dziś pokolenie, pokolenie atrapa, podobne do atrapy rodziny i atrapy narodu, to aż się serce ściska. Wystarczy przywołać te przerażające prognozy demograficzne na najbliższe trzydzieści lat, a te, które przytaczam poniżej, należą jeszcze do najbardziej optymistycznych. Otóż za trzydzieści lat pośród siedmiu miliardów istot ludzkich będzie żyć niespełna siedemset milionów białych, z których tylko trzecia część, przeważnie w mocno podeszłym wieku, będzie zamieszkiwać naszą małą Europę usiłującą stawić czoło awangardzie Trzeciego Świata: prawie czterystu milionom Arabów i muzułmanów, z których

połowa nie będzie miała dwudziestu lat, czekającym po drugiej stronie Morza Śródziemnego! Czy można choć przez chwilę sobie wyobrazić – i w imię jakiej to strusiej ślepoty – że stan takiej nierównowagi będzie trwał w nieskończoność...?

To stosowny moment, by wyjaśnić, dlaczego w *Obozie świętych* południe Francji najeżdżają masy ludzkie znad dalekiego Gangesu, a nie znad Morza Śródziemnego. Jest kilka powodów. Jeden wynika z pewnej mojej ostrożności, a zwłaszcza z mojej odmowy uczestniczenia w fałszywej debacie o rasizmie i antyrasizmie we Francji, obecnej na co dzień w mediach, jak również z mojej niechęci do podkreślania – za cenę zaogniania sytuacji – już teraz widocznych napięć rasowych, pomijanych w tej debacie. To jasne, że mamy już u siebie tę silną awangardę, wyraźnie manifestującą chęć pozostania u nas i odmawiającą asymilacji, a za dwadzieścia lat w łonie narodu francuskiego będzie ponad trzydzieści procent tej napływowej, silnie „motywowanej” ludności. To pewien sygnał, ale tylko sygnał. Można na tym poprzestać. Można nawet toczyć na ten temat jakieś drobne spory, udając niewiedzę lub rzeczywiście nie wiedząc, że prawdziwe niebezpieczeństwo jeszcze się nie pojawiło, że jest gdzie indziej, że dopiero nadejdzie i że ze względu na rozmiar będzie już miało inną naturę. Jestem bowiem przekonany, że w skali światowej wszystko rozegra się jak na stole bilardowym, na którym zderzające się kule wprawiają się w ruch jedna za drugą, począwszy od pierwszego impulsu, który może pojawić się tu lub tam, w tych wielkich rezerwuarach nędzy, jak choćby nad brzegami Gangesu. Prawdopodobnie nie będzie to przebiegać dokładnie tak, jak to opisałem, bo *Obóz świętych* jest tylko przypowieścią, ale ostatecznie rezultat nie będzie całkiem odmienny, co najwyżej przybierze formy bardziej przewlekłe i łatwiej akceptowalne. Cesarstwo Rzymskie umierało podobnie, właśnie powoli, ale tym razem tłący się ogień może wznieść gwałtowną pożogę. Powiadają, że historia się nie powtarza.

To niedorzeczność. Historia naszej planety to cykl następujących po sobie spustoszeń, które pozostawiają po sobie tylko ruiny. Te z kolei zaludniają następne pokolenia, niektórym udaje się je nawet odbudować i ożywić.

Zachód bowiem jest pusty, nawet jeśli w pełni jeszcze tego sobie nie uświadamia. Ta niebywale pomysłowa cywilizacja, z pewnością jedyna, która zdolna byłaby podejmować niemal nieprzezwyciężalne wyzwania trzeciego tysiąclecia nie ma już duszy. A tymczasem – czy to w skali narodów, ras lub kultur, czy też w skali jednostki – to dusza wygrywa zawsze decydujące bitwy. Ona i tylko ona jest tarczą ze złota i spiżu, która chroni mocne narody. Nie widzę już w nas duszy. Przyglądając się mojej ojczyźnie, Francji, jakby przebudzony ze złego snu, mam często wrażenie, że rodowici Francuzi to dziś wymierający gatunek, który w niczym nie przypomina i w żaden sposób nie zapowiadał obecnego gatunku, który pod koniec wieku – wskutek nie wiadomo jakiej tajemnicy genetycznej – przybrał sobie jego imię. Tym ostatnim wystarczy samo istnienie. Machinalnie zabezpieczają sobie przetrwanie, jak najmniejszym wysiłkiem. Pod szyldem wewnętrznej solidarności i iluzji „poczucia bezpieczeństwa” nie są już solidarni w niczym ani nawet świadomi niczego, co stanowi tę podstawową, wspólną istotę każdego narodu. Na płaszczyźnie praktycznej i materialnej, jedynej, która może jeszcze zapalić płomyk zainteresowania w ich gnuśnym spojrzeniu, tworzą drobnomieszczański naród, który opłacał, i w dobie kryzysu nadal opłaca – w imię dziedziczonego bogactwa, coraz mniej zasłużenie – milionową służbę: imigrantów! Ach, będą bać się coraz bardziej! Ta służba ma nieprzeliczone rodziny, za tymi i tamtymi morzami, a one tworzą jedną wielką głodną rodzinę, która przepelnia całą ziemię. To globalny Spartakus... Aby przywołać jeden tylko ze stu przykładów: Nigeria ma prawie siedemdziesiąt milionów mieszkańców, których kraj ten nie jest w stanie wyżywić, chociaż na zakup żywności przeznaczają ponad połowę swych dochodów ze

sprzedazy ropy naftowej. Na początku trzeciego tysiąclecia będzie sto milionów Nigeryjczyków, a złoża naftowe się wyczerpią.

Jednak głuchy i ślepy drobnomieszczanin jest tylko błaznem, nawet jeśli o tym nie wie. Żyjąc jeszcze jakimś cudem w swym dostatku, pośród swych „zielonych łąk Zachodu”, krzyczy, spoglądając z zawiścią na sąsiada: „Niech płacą bogaci!”. W końcu przecież dociera do niego, że ten bogaty to on sam, a ten krzyk sprawiedliwości, ten krzyk wszystkich zbuntowanych, wyrzaskiwany tysiącami głosów, skierowany jest przeciw niemu i tylko przeciw niemu, bo wkrótce już i on będzie samotny. To cały temat *Obozu świętych*.

Zatem – co robić?

Jestem pisarzem. Nie proponuję ani nie bronię tu żadnej teorii, systemu czy ideologii. Wydaje mi się tylko, że jedyna alternatywa, która staje przed nami, jest taka: musimy albo nauczyć się tej zrezygnowanej odwagi bycia biednym, albo znów odnaleźć w sobie tę nieugiętą odwagę bycia bogatym. W obydwu przypadkach miłosierdzie zwane chrześcijańskim okaże się bezsilne. Nadchodzą okrutne czasy.

J.R. 1985

I

Starego profesora naszła pospolita myśl. Zbyt wiele się naczytał, zbyt wiele przemyślał, zbyt wiele także napisał, by się ośmielił, nawet wobec samego siebie i w okolicznościach tak doskonale nienormalnych, wypowiedzieć cokolwiek innego niż banał na miarę wypracowania ucznia trzeciej klasy. Pogoda była piękna. Było ciepło, ale nie za nadto, bo świeży wiosenny wietrzyk przewiewał łagodnie i bezszelestnie kryty taras domu, jednego z ostatnich, wysoko na wzgórzu, przytulonego do zbocza skały jak posturunek strażniczy tej starej, spatynowanej wioski, górującej nad całą okolicą, skąd rozciągał się widok na leżący w dole kurort turystyczny, na jego luksusową aleję tuż nad wodą, gdzie można było domyślać się szpaleru zielonych palm i białych rezydencji, i dalej na samo morze – łagodne i błękitne, to morze bogatych, teraz nagle odarte ze swej powszedniej polityry: chromowanych jachtów, muskularnych narciarzy wodnych, opalonych na złoto dziewcząt, opasłych brzuchów zalegających pokłady dużych, statecznych żaglowców; i oto na to morze, wreszcie opustoszałe, wpłynęła ta nieprawdopodobna, zardzewiała flota z innego świata, i osiadła na oddalonej pięćdziesiąt metrów od brzegu mieliźnie, którą stary profesor obserwował już od rana. Paskudny odór, jak z latryny, który na podobieństwo

grzmotu zapowiadającego burzę poprzedził pojawienie się tej floty, teraz zniknął.

Odsuwając wzrok od lunety na trójnogu, w której soczewce ta niewiarygodna inwazja mrowiła się w takim przybliżeniu, że, zdawało się, wkraczała już na zbocza wzgórza i podchodziła pod sam dom, stary człowiek potarł zmęczoną powiekę, a potem w naturalnym odruchu zerknął na drzwi. Były to solidne, dębowe drzwi, zamocowane na prawdziwie fortecznych zawiasach. Na pociemniałym ze starości drewnie wyryto rodowe nazwisko i rok ukończenia budowy domu przez jednego z przodków profesora: 1673. Drzwi oddzielały taras od głównego pomieszczenia tego domu, które pełniło funkcję zarazem salonu, biblioteki i biura. Były jedynymi drzwiami w tym domu, gdyż z tarasu niewielkie, pięciostopniowe schodki prowadziły wprost na wąską uliczkę. Zgodnie ze zwyczajem panującym w małych miasteczkach i wioskach, były zawsze otwarte: każdy, komu przyszlaby na to ochota, mógł wejść, by porozmawiać z gospodarzem. Tak więc tego wieczora też były otwarte. Stary człowiek dopiero teraz to sobie uświadomił. „Trzeba by sobie zadać pytanie – mruknął do siebie, a na ustach błąkał mu się smętny uśmiech – czy w tych okolicznościach drzwi powinny być otwarte, czy jednak zamknięte?”.

Potem wrócił do przerwanej obserwacji, z okiem przy luncie, korzystając z tego, że słońce jeszcze nie całkiem zaszło i ostatni raz przed zapadnięciem nocy oświetliło nieprawdopodobne widowisko. Ilu ich tam było, na tych wszystkich wrakach osiadłych na przybrzeżnych mieliznach? Jeśli wierzyć przerażającym liczbom podawanym od rana w kolejnych wiadomościach radiowych, to tłoczyli się tam ciasno warstwami, jedni na drugich, w ładowniach i na pokładach, obsiadłszy wszystkie pomosty, uczipieni nawet kominów, żywi depczący po zmarłych, niczym prace naprzód kolumny mrówek, których widoczna część jest mrowieniem się życia, a ta dolna – rodzajem mrówczego szlaku, znaczonego milionami trupów.

Stary profesor – nazywał się Calguès – nastawił teraz lunetę na jeden ze statków, najlepiej oświetlonych zachodzącym słońcem, potem starannie wyregulował ostrość, jak badacz przy mikroskopie, który odkrywa w kulturze bakterii kolonię mikrobów, której istnienie przeczuwał. Statek był parowcem, którego pięć archaicznych kominów świadczyło o bardzo zaawansowanym wieku. Cztery kominy były poważnie zniszczone przez upływ czasu, rdzę, brak konserwacji, zdarzenia losowe – słowem: przez nędzę. Osiadły na mieliźnie tuż przy brzegu statek przechylił się o jakieś dziesięć stopni. Gdy zapadł zmrok, zarówno na tym parowcu, jak i na pozostałych statkach tej upiornej flotylli nie sposób było dostrzec ani jednego światełka, nawet najdrobniejszego błysku światła. Ognie, kotły, generatory – wszystko momentalnie zgasło podczas tego dobrowolnego ugrzęźnięcia na płyciźnie, właściwie wpółzatonięcia: albo z braku paliwa, być może tak odmierzonego, całkiem słusznie zresztą, by starczyło na podróż w jedną stronę, albo dlatego, że nikt na pokładzie nie uważał już za konieczne zajmować się czymkolwiek, skoro ten exodus dobiegł wreszcie końca u bram nowego raju. Stary pan Calguès obserwował wszystko uważnie, szczególnie po szczególe, nie dostrzegając u siebie najmniejszych nawet przejawów wzruszenia. Po prostu: w zetknięciu z tą awangardą jakiegoś antyświata, który pozwolił sobie wreszcie przybyć i zapukać do bram obfitości, Calguès odczuwał jedynie chłodne zaciekawienie.

Z okiem przyciśniętym do lunety widział przede wszystkim ręce. Wyliczył, że krąg, jaki obejmował swą lunetą na pokładzie obserwowanego statku, miał średnicę około dziesięciu metrów. Zaczął liczyć te ręce, powoli, ale było to tak trudne, jak liczenie drzew w gęstym lesie. Bo wszystkie ręce były uniesione. Kołysały się razem, wyciągały w stronę pobliskiego brzegu jak chude, czarne i brunatne gałęzie ożywione wiatrem nadziei. Te ręce były nagie. Wylaniały się z białej bielizny, którą stanowiły zapewne tuniki, togi, pielgrzymie sari, suche, wychudzone jak ręce Gandhiego.

Doliczywszy się dwustu rąk, profesor przestał liczyć, gdyż doszedł do granicy widocznego w lunecie okręgu. Potem dokonał szybkiego rachunku. Uwzględniając długość i szerokość pokładu – można go było objąć w całości trzydziestoma przyłożeniami lunety, a pomiędzy jednym przyłożeniem a drugim, pomiędzy dwoma sąsiednimi okręgami, znajdowała się jeszcze dodatkowa przestrzeń w postaci dwóch stykających się ze sobą wierzchołkami trójkątów, których łączna powierzchnia stanowiła mniej więcej jedną trzecią powierzchni trzydziestu okręgów. A zatem: $30 + 10 = 40$ okręgów, przemnożone przez 200 rąk daje 8 tysięcy rąk! Cztery tysiące osób! Na jednym tylko pokładzie statku! Jeśli przyjąć, że pokładów jest więcej, a zagęszczenie zapewne podobne na każdym pokładzie, pomoście i w każdej ładowni, to należałoby tę i tak już zaskakującą liczbę powiększyć mniej więcej ośmiokrotnie. W sumie: około trzydziestu tysięcy osób na każdym statku! Nie licząc tych zmarłych, którzy pływali wokół każdego z nich, ciągnąc za sobą po wodzie białe łachmany, a których ci żywi o poranku zrzucili z pokładu. Nie wynikało to raczej ze względów higienicznych – po co mieliby to robić, jeśli wierzyli, że dotarli do kresu podróży? Profesor Calguès sądził, że znalazł jedyne możliwe wyjaśnienie. Calguès wierzył w Boga. Wierzył we wszystko, w życie wieczne, odkupienie i miłosierdzie Boskie. Wierzył także, i to bardzo mocno, że te zwłoki wyrzucone na wybrzeża Francji trafią do raju, że dopłyną tam bez przeszkód i na zawsze, bardziej nawet uprzywilejowane niż ci żywi, którzy, rzucając swych zmarłych do wody dawali im za jednym zamachem wyzwolenie, szczęście i wieczność. Ten gest był gestem miłości – i w ten sposób rozumiał go profesor.

Nastała noc, ale wcześniej dzień zdążył jeszcze oblać czerwoną poświatą osiadłą na mieliźnie floty. Było tam ponad sto statków, wszystkie zardzewiałe, nie do użytku, świadczące, że tylko cud prowadził je i ochraniał podczas podróży z tamtego, innego świata, z wyjątkiem jednego,

który zatonął w okolicach Cejlonu. Przyplływając, jeden po drugim, jakby się umówiły, wbijały się w przybrzeżne skały lub piasek, z dziobami skierowanymi ku plaży i uniesionymi jakby w ostatecznym wzlocie. Wokół na morzu unosiło się tysiące ciał w bieli, które ostatnie fale kończącego się dnia sprowadzały na ląd, łagodnie wynosiły na brzeg, a potem wracały, by poszukać innych. Sto statków! Stary profesor poczuł, że rodzi się w nim coś w rodzaju dreszczu pokory zmieszanej z uniesieniem, który odczuwał niekiedy, gdy nazbyt zaprzętał sobie umysł pojęciami nieskończoności lub wieczności. Tego wieczora, tej wielkanocnej niedzieli osiemset tysięcy żywych i tysiące martwych oblegały pokojowo granicę Zachodu. Nazajutrz wszystko się rozstrzygnie. Od strony wybrzeża aż po nadmorskie wzgórza, aż do wioski, aż po taras jego domu niósł się łagodny zaśpiew, ale o niesamowitej sile, wbrew swej monotonnej słodyczy, jak jakaś melodyjna recytacja nucona przez chór ośmiuset tysięcy głosów. Przed wiekami krzyżowcy szykujący się do ostatecznego ataku na Jerozolimę okrążali miasto ze śpiewem na ustach. Przy siódmym zadęciu w trąby załamała się bez walki obrona Jerycha. Czy gdy i ta melodyjna recytacja ustąpi miejsca ciszy, narody dziś wybrane doświadczą Boskiej niełaski? Teraz słyhać było także warkot silników seitek ciężarówek, bo także od rana armia zajmowała pozycje na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Ale gdy zapadła noc, z tarasu widać było tylko niebo i gwiazdy.

W domu było chłodno, mimo to, wracając z tarasu, profesor nie zamknął drzwi. Czyż jakiegokolwiek drzwi, choćby i trzystuletnie arcydzieło rzemiosła wykonane z szacownego dębu, mogły ocalić świat, który przeżył zbyt wiele? Elektryczność nie działała. Zapewne elektrycy z nabrzeżnych elektrowni uciekli na północ, oni także, w ślad za przerażonymi tłumami, które uciekały w ciszy, aby nie widzieć, niczego nie widzieć, a przez to niczego nie rozumieć, a mówiąc dokładniej – nie musieć zrozumieć. Profesor zapalił lampę naftową, którą miał zawsze na podporządku

na wypadek awarii prądu, i wrzucił zapalną do kominka, gdzie starannie przygotowany stos polan zajął się natychmiast i buchnął trzaskającym płomieniem, rozszczepiając wokół ciepło i światło. Potem profesor włączył radio na baterie. Muzyka pop i rockowa, pieśniarki i gładziarze, murzyńscy saksofoniści, rozmaici guru i zadowolone z siebie gwiazdy, animatorzy kultury, spece od zdrowia, miłości i seksu – cały ten świat zniknął gdzieś z fal radiowych, nagle uznany za nieprzyzwoity, jak gdyby zagrożony Zachód zatroszczył się teraz o swój ostatni dźwiękowy wizerunek. Rozbrzmiewała natomiast muzyka Mozarta, ten sam program dla wszystkich stacji: *Eine kleine Nachtmusik*, czyli „nocna muzyka”. Stary profesor pomyślał z sympatią o prowadzącym program w paryskim studiu. Nie wiedząc, nie widząc, ten człowiek zrozumiał. Pojął. Na tę monotonną, melodyjną recytację ośmiuset tysięcy głosów, której nie mógł przecież słyszeć, znalazł najlepszą odpowiedź. Cóż było w tym świecie bardziej zachodniego, bardziej cywilizowanego, bardziej doskonałego niż Mozart? Nie można przecież zanućcić Mozarta na osiemset tysięcy głosów. Mozart nigdy nie komponował, by podburzać tłumy, ale żeby niepowtarzalnym dźwiękiem wzruszyć serce każdego. Zachód w jego jedynej prawdzie... Głos dziennikarza wyrwał profesora z tych rozmyślań:

„Rząd, który zebrał się pod przewodnictwem prezydenta Republiki, obradował cały dzień w Pałacu Elizejskim. Wobec powagi wydarzeń w posiedzeniu rządu uczestniczyli także szefowie sztabów trzech armii, zwierzchnicy policji i żandarmerii, prefektowie departamentów Var i Alp Nadmorskich oraz, wyjątkowo, na zasadzie konsultacji, arcybiskup Paryża, nuncjusz apostolski oraz większość ambasadorów państw zachodnich obecnych w stolicy. W chwili gdy przekazujemy te informacje, obrady jeszcze się nie zakończyły, ale rzecznik prasowy rządu oświadczył, że prezydent Republiki wygłosi około północy uroczyste orędzie. Według informacji, które dobiegają z południa kraju,

sytuacja na statkach emigrantów się nie zmieniła. Komunikat szefa sztabu armii potwierdza, że rozmieszczono dwie dywizje na wybrzeżu naprzeciw tych..." (Dziennikarz zawahał się i jakże dobrze go zrozumiano! Jak nazwać ten nieprzebrany tłum? Wrogiem? Hordą? Inwazją? Maszerującym Trzecim Światem?) – "...wobec tej nietypowej inwazji" (Proszę! Wybrnął z tego całkiem niezłe!) – "...i że wsparcie w postaci trzech dywizji jest już w drodze na południe, mimo pewnych trudności z przemieszczaniem się. W ostatnim komunikacie, podanym do wiadomości publicznej przed pięcioma minutami, pułkownik Dragasès, szef sztabu generalnego, zapowiada, że wojsko rozpaliło na wybrzeżu około dwudziestu olbrzymich stosów, gdzie..." (Dziennikarz znów się zawahał. Słyszał było, jak westchnął. Starszemu panu wydało się nawet, że powiedział: „Mój Boże!”) – "... gdzie pali się tysiące zwłok wyrzuconych dotąd ze wszystkich przybyłych statków".

To było wszystko i Mozart bez przeszkód zajął miejsce tych trzech dywizji, które posuwały się na południe, i tych dwudziestu stosów, które płonęły tam, na wybrzeżu. Zachód nie pali swoich zmarłych. Krematoria kryją się wstydliwie, jeszcze ciągle na obrzeżach jego cmentarzy. Sekwana, Ren, Loara, Rodan, Tamiza, nawet Tyber i Gwaldakiwir nie są Gangesem czy Indusem. Ich nabrzeża nigdy nie wionęły odorem palonych zwłok. Oczywiście, krew i tutaj płynęła, woda często zabarwiała się na czerwono, a chłopci – robiąc znak krzyża – odpychali od brzegów widłami płynące z prądem ludzkie ścierwo. Ale na mostach, na nabrzeżach, na bulwarach tańczono, pito wino i piwo, podszczypywano dziewczęta, które śmiały się – i śmiano się także z wywieszonego jęczora wisielca, śmiano się prosto w nos łamanemu kołem lub prosto w kark ścinanemu toporem, bo poważny Zachód umiał równie dobrze śmiać się, jak płakać; a potem na zew dzwonów oddalano się na modlitwę i spożywanie cielesnego Boga w przekonaniu, że ma się wspaniałe oparcie we wszystkich tych zmarłych

ułożonych na cmentarzach, na zboczach wzgórz, pod krzyżami i płytami nagrobnymi, i palono tylko synów szatana, czarownice i ofiary dżumy. Profesor wyszedł na taras. Na brzeże w dole było oświetlone dwudziestoma czerwonymi lunami, nad którymi unosił się dym. Profesor zdjął osłonę szkieł lornetki i przyjrzał się największemu ze stosów, który wyglądał jak ogromna wieża z ludzkich zwłok. Żołnierze ułożyli ten stos starannie, warstwa drewna, warstwa trupów i tak na przemian. W decyzjach jego architekta czuło się jeszcze szacunek dla śmierci. Potem wieża zawaliła się i – nadal płonąć – była już tylko bezkształtną masą, która dymiała jak miejskie wysypisko śmieci. Nikt już nie próbował jej odbudować; podjechały buldożery kierowane przez mężczyzn w skafandrach, a także inne maszyny wyposażone w mechaniczne łapy i ruchome pojemniki, i cała ta maszyneria zaczęła spychać zwłoki na kupę i zagarniać tę lepka i płynną jak błoto masę. Potem rzucano ją ponownie na stos, a z przenośników wysypywały się ludzkie szczątki: ramiona, nogi, głowy, niekiedy nawet całe zwłoki.

Właśnie wówczas profesor spostrzegł pierwszego uciekającego żołnierza. Ów młody człowiek porzucił zwłoki, które ciągnął, potem cisnął gwałtownie swój hełm, maskę, rękawice ochronne, wreszcie przycisnął pięści do skroni i zaczął biec zygzakiem, jak przestraszony królik, w ciemny krąg nocy otaczającej stos. W ciągu następnych pięciu minut dziesięciu innych żołnierzy poszło w jego ślady i profesor odłożył lornetkę. Miał dosyć. W ich przypadku trzeba było już mówić nie o sercu, ale o chorobliwej, zaraźliwej wrażliwości, która rodziła pokusę, by uznać ją za godną naśladowania. Bo tylko odważni ludzie walczyli naprawdę tej nocy.

Podczas gdy wrażliwy młody człowiek, ofiara zwyrodniałej litości, uciekał – stary Calguès skierował na kilka chwil swą lornetkę na olbrzyma w mundurze, który – stojąc z rozkraczonymi nogami, tuż przy stosie – z rozmachem wrzucił w ogień całe ciało, które mu podawano, niczym palacz

dorzucający węgiel do kotła parowca. Być może i on cierpiał z powodu tego widowiska, ale widać było, że nie cierpi z litości. Z całą pewnością także nie rozmyślał o całej sytuacji, pogrążony w całkowitej pewności, że rodzaj ludzki nie tworzy już solidarnej wspólnoty, jak zbyt długo twierdzili papieże, filozofowie, intelektualści, kapłani i politycy Zachodu. Chyba że, obserwując zdeterminowany spokój tego człowieka, którego nazwał „palaczem”, a którym był pułkownik Dragasès we własnej osobie, szef sztabu dający przykład na pierwszej linii walki, stary profesor przypisał mu swoje własne myśli. Tego wieczora także miłość się dzieliła. Człowiek nigdy nie kochał ludzkości *en bloc*, nie kochał ras, religii czy kultur, ale tylko tych, których uznaje za swoich, tych ze swojego klanu, niezależnie od jego wielkości. Co do reszty, przymusza się lub jest przymuszany, ale kiedy przymus się kończy, pozostaje mu tylko samozniszczenie. W tej dziwnej wojnie, która nadciągała, zatryumfują ci, którzy kochają się najbardziej.

Ilu z nich dotrwałoby do rana, by utrzymać wybrzeże, by stawić radośnie czoło tej strasznej armii, gdyby zaczęła się ona ześlizgiwać ze swych statków do wody i tysiącami wychodzić na brzeg, by po tym szturmie zmarłych przypuścić teraz szturm żywych? Radośnie! Tu tkwiło sedno sprawy. Przyglądając się obliczu „palacza”, profesor miał przez chwilę wrażenie, że pułkownik porusza wargami, jakby śpiewał. Mój Boże! Gdyby było ich przynajmniej dwóch do śpiewania, przynajmniej dwóch! Być może udałoby się im przebudzić i innych ze śmiertelnego snu... Jednak od strony nabrzeża dochodził tylko ten melodyjny zaśpiew, ta łagodna i groźna melorecytacja wydobywająca się z ośmiuset tysięcy gardeł.

– Ale chryja! – odezwał się jakiś głos w mroku.

III

Młody człowiek wszedł bezszelestnie na taras schodkami wychodzącymi wprost na uliczkę. W dżinsach, rozchodzonych adidasach, z długimi, brudnymi blond włosami, wyglądał co najmniej niechlujnie, a jego spojrzenie zdradzało chorą duszę. Reprezentował on ten dobrze znany pasożytniczy margines młodych ludzi, który Europa wydawała z siebie w setkach tysięcy podobnych osobników, tworzących w jej łonie jakby rakowatą tkankę dobrowolnego Trzeciego Świata.

– Idę stamtąd, z dołu – powiedział. – Niesamowite! Nareszcie! Czekałem na to!

– Jest pan sam?

– Na razie. Nie licząc kumpli, co już ściągnęli na wybrzeże. Ale idą też inni. Pieszko. Wszystkie świny wieją na północ! Żaden samochód nie jedzie w przeciwną stronę. Zdechną, ale sami tego chcieli.

– Tam na dole, był pan blisko?

– Całkiem blisko, ale tylko przez chwilę. Dostałem parę razy kolbą. Jakiś oficer potraktował mnie jak śmiecia. Ale widziałem płaczących żołnierzy. I dobrze! Jutro nikt już nie pozna tego kraju. On się narodzi na nowo.

– Widział pan tych, co przybyli na tych statkach?

– Tak.

– I sądzi pan, że jest pan do nich podobny? Pan ma przecież białą skórę. Jest pan z pewnością ochrzczony. Mówi pan po francusku, z tutejszym akcentem. Pańscy rodzice pochodzą pewnie z tej okolicy?

– I co z tego? Moja rodzina to ci tam, co właśnie dobili do brzegu. Jestem z milionem braci, sióstr, ojców, matek i narzeczonych. Zrobię dziecko pierwszej, która się nawinie, ciemnoskóre dziecko, a potem już w nikim nie będę rozpoznawalny.

– I przestanie pan w ogóle istnieć. Zatraci się pan w tym tłumie. Nawet nie zwróć na pana uwagi.

– O to właśnie mi chodzi. Moi rodzice uciekli dziś rano, z moimi dwiema siostrami, które nagle się przestraszyły, że zostaną zgwałcone. Zwariowały ze strachu. I tak ich wszystkich dopadną. Dopadną cały świat. Nie ma sensu uciekać, to koniec. Gdyby pan widział tę scenę! Ojciec ładował buty ze swego sklepu do furgonetki, matka jeszcze je sortowała, płacząc, te droższe do samochodu, te tańsze zostawiała, siostry usiadły już na przedzie, patrzyły na mnie z przerażeniem i przyciskały się do siebie, jakbym to ja chciał je pierwszy zgwałcić. A ja się śmiałem, zwłaszcza gdy ojciec opuścił żaluzję sklepu i schował klucze. Powiedziałem mu: „Myślisz, że to cokolwiek da! Te twoje drzwi otworzę bez klucza i to zaraz jutro. A w te twoje buty naszczają albo je zeżrą, bo przecież chodzą boso!”. Spojrzał na mnie i splunął mi pod nogi. Ja splunąłem mu w oczy. I tak się rozstaliśmy.

– A pan? Po co pan przyszedł do wioski? Po co pan przyszedł do mnie?

– Kradnę. Poza wojskiem, panem i moimi kumplami chyba nie ma nikogo już w promieniu stu kilometrów. Więc kradnę. Ale nie jestem już głodny, najadłem się dosyć. Prawdę mówiąc, nie mam wielkich potrzeb, a zresztą wszystko tu wokół jest moje. Jutro to ja ofiaruję im to wszystko. Jestem jakby królem i zrobię im podarunek z mojego królestwa. Zdaje się, że dzisiaj Wielkanoc...

– Nie rozumiem.

– Na tych statkach jest około miliona Chrystusów, którzy jutro zmartwychwstaną. I ten pański Chrystus, sam jeden... będzie skończony, on także.

– Jest pan wierzący?

– Ani trochę.

– A ten „milion Chrystusów” to pański wymysł?

– Nie. Ale niezłe brzmi, jak wszystkie brednie opowiedane przez księży. Wziąłem to zresztą od jednego z nich. Spotkałem go przed godziną. Drapałem się tu, na górę, a on pędził na dół jak szaleniec. Nie tyle stuknięty, co dziwak. Od czasu do czasu przystawał, wznosił ramiona do nieba, jak inni, tam na dole, krzyczał: „Dziękuję ci, Boże!” i dalej pędził na plażę. Zdaje się, że dołączył tam do innych.

– Jakich innych?

– Innych księży. Ale nudzi mnie pan. Nie przyszedłem tu, żeby gadać. Poza tym pan jest już tylko upiorem, co pan tu jeszcze robi?

– Wysłuchuję pana.

– Interesują pana te bzdury?

– Niezwykłe.

– Jest pan już tylko zgniłkiem. Jeszcze się pan namyśla? A tu nie ma już nad czym się namyślać, myślenie też już jest skończone. Niech się pan wynosi!

– O nie, w żadnym wypadku!

– No tak! Pan i ten dom jesteście do siebie podobni! Można powiedzieć, że jesteście tu razem od tysiąca lat.

– Dokładnie od 1673 roku – sprostował starszy pan i po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Trzy wieki pewności dziedziczenia. Ohyda. Patrzę na pana jak na jakąś doskonałość. I dlatego pana nienawidzę. I właśnie tutaj, do pana, przyprowadzę jutro tych najniebezpieczniejszych. Nie mają zielonego pojęcia, kim pan jest i co pan reprezentuje. Pański świat nie ma dla nich najmniejszego znaczenia. I wcale nie chcą go zrozumieć. Są zmęczeni, jest

im zimno, rozpalą ogień pańskimi pięknymi, dębowymi drzwiami. Obsrają pański taras i wytrą ręce kartkami książek z pańskiej biblioteki. Naplują w pańskie wino. Będą jeść palcami z pańskich pięknych cynowych mis, które wiszą tam, na ścianie. Przysiądą sobie na piętach, w kucki, i będą patrzeć, jak w ognisku płoną pańskie fotele. Zrobią sobie szaty z pańskich haftowanych prześcieradeł. Każdy przedmiot straci znaczenie, jakie pan z nim wiązał, piękne nie będzie już piękne, użyteczne stanie się śmieszne i bezużyteczne, absurdalne. Nic już nie będzie miało głębszego sensu, z wyjątkiem, być może, kawałka zapomnianego sznurka w kącie, o który, kto wie, może nawet się pobiją, demolując wszystko dookoła. Zapowiada się to wspaniale! Zwijaj pan swój obóz!

– Jeszcze tylko słówko: oni będą niszczyć nieświadomie, bezrozumnie. Ale pan?...

– Ja... bo nauczyłem się nienawidzić tego wszystkiego. Bo globalna świadomość świata wymaga, by nienawidzić tego wszystkiego. Wynos się pan stąd! Zwijaj pan kram! Wkurzasz mnie!

– Jak pan sobie życzy.

Profesor wszedł do wnętrza domu, ale zaraz powrócił z myśliwską strzelbą w rękach.

– Co pan wyrabia? – zapytał młody człowiek.

– Zabiję pana, rzecz jasna! Ten świat, który jest moim światem nie przeżyje, być może, jutrzejszego poranka, więc mam zamiar jak najpełniej wykorzystać jego ostatnie chwile. Tej nocy chcę przeżyć drugie życie i myślę, że to drugie życie będzie jeszcze piękniejsze niż pierwsze. A że moi bliźni uciekli, zamierzam przeżyć je samotnie.

– A ja?

– Pan nie jest moim bliźnim. Jest pan moim przeciwieństwem. Nie chcę spędzić tej ważnej nocy w towarzystwie swego przeciwieństwa. Zatem zabiję pana.

– Nie potrafi pan. Jestem pewien, że jeszcze nikogo pan nie zabił.

– Zgadza się. Prowadziłem dotąd spokojne życie profesora literatury, który lubi swoje zajęcie. Żadna wojna nie potrzebowała moich usług, a zabójstwem, oczywiście beзуżytecznym, zwyczajnie się brzydę. Byłby ze mnie prawdopodobnie bardzo lichy żołnierz. A jednak sądzę, że wraz z Akcjuszem zabiłbym z radością jakiegoś Huna. A z Karolem Młotem z entuzjazmem garbowałbym arabską skórę, podobnie z Gotfrydem z Bouillon i Baldwinem Trędowatym. Pod murami Bizancjum, zanim skończyłbym obok Konstantyna Dragasésa, mój Boże!, ilu jeszcze pozabijałbym Turków, zanim przyszłaby moja kolej! Jakie to szczęście, że ludzie, którzy nie znają zwątpienia, nie umierają tak łatwo! Wkrótce wskrzeszony, proszę: na przykład z Krzyżakami gromię Rusinów. Noszę krzyż na białym płaszczu i wyruszam z Rodos, ze skrwawionym mieczem w dłoni, z niewielkim, przykładowym oddziałem pana de Villiers de l'Isle-Adam. A jako marynarz księcia Juana de Austria mszczę się pod Lepanto. Piękna rzeź! Potem przestają mnie używać. Może tylko w epizodach historii współczesnej – jakiś smutny żart – które zaczynają być źle postrzegane, już nawet dobrze nie pamiętam. Wszystko stało się takie brzydkie: już bez fanfar, już bez chorągwi, już bez *Te Deum*. Proszę wybaczyć tę pedanterię starego profesora. Oczywiście, nie zabiłem nikogo, ale te wszystkie bitwy, z którymi utożsamiam się w głębi duszy, przeżywam teraz, jestem ich jedynym aktorem, chociaż jednym wystrzałem uczestniczę w nich wszystkich. W ten sposób!

Młody człowiek runął z wdziękiem, osuwając się po balustradzie, o którą był oparty plecami, i usiadł na pięty, z ramięmi opuszczonymi wzdłuż ciała, przyjmując pozycję, która byłaby mu bliska. Czerwona plama na lewej piersi powiększała się z wolna, ale potem krwawienie ustało. Umarł i kwita. W jego oczach, które profesor zamknął łagodnym gestem, kciukiem i palcem serdecznym, nie było nawet zdziwienia. Nie było fanfar, sztandarów – zwycięstwo na modłę zachodnią, równie ostateczne, jak beзуżyteczne

i śmieszne. W całkowitej zgodzie z samym sobą, tak słodkiej, że nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej jej doświadczył, stary profesor Calguès odwrócił się plecami do zmarłego i wszedł do domu.



Ze spokojem w duszy profesor poczuł ssanie w żołądku. Przypomniwał sobie zaraz te stany zdrowego, wilczego głodu, zwłaszcza tego, który ogarnia człowieka po miłosnych uniesieniach, chociaż nie było mu dane doświadczyć ich wielu. Z tamtych bardzo już odległych nocy pozostały mu tylko niewyraźne wspomnienia; bez żalu. Ale bardzo dobrze pamiętał te małe uczyty po nocach miłości, te cudowne posiłki łąpczywie spożywane we dwoje, nawet tu, w tym domu: ciemny chleb, krojony w duże, cienkie pajdy, czarna szynka, wyrabiana na sąsiednich wzgórzach, miejscowy kozi ser, oliwki z gajów oplatających tarasami okoliczne wzgórza, morele z własnego ogrodu, tak dojrzałe od słońca, i wreszcie wino, trochę cierpkie, z kamienistych stoków. Wszystko to jeszcze obecne było w jego domu, w zasięgu ręki: ten chleb, przechowywany zawsze w skrzyni z wiekiem, na którym wyrzeźbiony był krzyż, te oliwki w wielkim słoju, ta suszona szynka, podwieszona pod belkowaniem kuchni, to wino i te sery w chłodnej, mrocznej piwniczce pod schodkami, poustawiane jak książki na półkach. I teraz sięgnął po to wszystko i rozłożył na dużym, solidnym stole. Korek od butelki opierał się przez chwilę, ale znajomy dźwięk, który wydał w końcu, poddając się, napełnił cały pokój zmysłową radością. Wtedy profesorowi

przyszło na myśl, że tego wieczora, raz jeszcze, odda się miłości.

Przygotował jeden duży kieliszek, żeby nim gasić pragnienie, i drugi, mniejszy, żeby smakować wino. Miał świadomość tej wykwintności i nawet oblizwał wargi. Pokroił szynkę w cieniutkie plastry, ułożył je na cynowym półmisku, przystroił oliwkami, dołożył ser (na liściu winorośli) i postawił płaski koszyk z owocami, a potem usiadł przed tak przygotowaną kolacją i uśmiechnął się, szczęśliwy. Kochał. Jak każdy zaspokojony kochanek, chciał być sam z tą, którą kochał. Tego wieczora nie była to kobieta ani żadna żywa istota, ale rodzaj wyobrażenia o samym sobie, skomponowanego z niezliczonych obrazów, z którymi teraz się utożsamiał. Na przykład ten srebrny widelec o zużytych zębach, z niemal całkowicie już zatartymi inicjałami przodka po kądzieli; osobliwy przedmiot, wynaleziony przez Zachód w trosce o godność, podczas gdy mieszkańcy Trzeciego Świata wciąż jedli palcami. Szklanki, bezużyteczne kryształły, ustawiane do góry dnem – po co? Czy należało zaprzestać tego zwyczaju, bo gdzieś w Sertão ludzie umierali z pragnienia albo dlatego, że w Indiach półwyschnięte studnie były wylęgarniami tyfusu? Zazdrośnicy, rogakze mogą walić do drzwi, grozić, mścić się, ale w miłości nikt się nie dzieli z innymi i śmieje się z reszty świata: świat dlań nie istnieje. Rogacz, zazdrośnik o cudze szczęście nadciągają tyściami? Znakomicie!

Profesor poustawiał kryształowe szklaneczki i zapalił lampę, aby je lepiej oświetlić: zaiskrzyły w nich gwiazdy. Spojrzał na wiejski kufer, wielki, masywny, ledwo dający się ruszyć („cztery wieki pewności dziedziczenia” – jakby powiedział tamten młodzieniec), kufer pełen poskładanej pościeli i bielizny: serwet, obrusów, prześcieradeł, powłoczek, poszewek, ściereczek, bezużytecznego lnu o starodawnym splocie; wszystko było pieczołowicie poskładane na kupki, przesycone zapachem lawendy i profesor nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek pomagał w przygotowaniu tych

stosów bielizny i pościeli, które, składane tu przez matkę i babkę, były przeznaczone dla biednych (ach, te poczciwe kobiety o dobrym sercu, tak dbałe o wszystko... czy nie-pohamowane miłosierdzie nie jest jednak grzechem wobec samego siebie?) – aby ta skrzętnie naprawiana, ceroxowana i nicowana bielizna i pościel mogły jeszcze komuś służyć. Potem zbyt przybyło biednych. To znaczy – już ich nie znano. Nie byli tutejsi. Nie mieli już imion. Wszędzie było ich pełno, zrobili się przebiegli. Wdzierali się do rodzin, domów, miast. Domagali się wsparcia poprzez skrzynki pocztowe, każdego ranka zdjęcia ich biedy wypadały z kopert, stawiali żądania w imieniu zbiorowości. Wślizgiwali się wszędzie, w gazetach, w radiu, w kościołach i stronnictwach widziano już tylko ich, całe narody, które nie odczuwały nawet potrzeby bielizny, ale potrzebę przekazów pocztowych, i wszędzie pełno było natarczywych i rozdzierających apeli, na granicy pogroźki. Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Oto pojawili się i w telewizji, widziano ich umierających tysiącami, ta anonimowa hekatomba stała się stałym spektaklem, z jej własnymi zawodowymi kapłanami i prezbiterami. Całą tę ziemię najechali nędzarze. Tam, gdzie wszystko dookoła budzi wyrzuty sumienia, poczucie szczęścia staje się wadą, a cóż dopiero mówić o przyjemności? Nawet w wiosce, w której mieszkał Calguès, doszło do tego, że zaofiarowanie komuś używanej, czystej pościeli – bezpośrednio, z ręki do ręki – było odbierane jak obraza. Krótko mówiąc, nikt nie czuł się lepszy, ofiarowując coś osobiście bliźniemu, przeciwnie, czuł się zawstydzony, poniżony.

Zatem profesor zamknął ostatecznie przed światem swe szafy, kufrы, piwnicę i spiżarnię w tym samym dniu – pamiętał to dobrze – w którym poprzedni papież rozdał majątek Watykanu. Skarby, bibliotekę, obrazy, freski, tiarę, ruchomości, pomniki – papież sprzedał to wszystko przy aplauzie chrześcijan, z których najbardziej wrażliwi, ogarnięci jakąś epidemią zastanawiali się, czy za jego przykładem też nie

powinni zostać biednymi. Gestem śmiesznym z punktu widzenia wieczności wrzucił wszystko w przepaść bez dna: uzyskana suma była mniejsza niż roczny budżet rolnictwa Pakistanu! A z moralnego punktu widzenia dał tylko dowód swego bogactwa. Trzeci Świat zaraz zresztą mu to zarzucił i stracił do niego całe zaufanie. I odtąd Jego Świątobliwość błąkał się po pałacu, opustoszałym wskutek dobrowolnego ubóstwa. Zmarł na żelaznym łóżku, w pustych apartamentach, pomiędzy stołem a trzema wiklinowymi fotelami, jak proboszcz z ubożego przedmieścia: nie każdy bywa ukrzyżowany na oczach zebranego tłumu. Wybrano nowego papieża, mniej więcej w czasie, gdy Calguès przechodził na emeryturę. Papież zasiadł smutno na watykańskim, wiklinowym tronie, podczas gdy profesor, wracając do swej rodzinnej wioski, postanowił nie opuszczać jej już nigdy i w pełni cieszyć się należącymi doń dobrami i przysługującym mu poważaniem...

Bogu dzięki za tę soczystą szynkę, za ten pachnący chleb, za to chłodne wino! Za zdrowie starego świata i tych, którzy mają się jeszcze dobrze!

Jedząc, popijając – powoli, smakując każdy kęs, każdy łyk – starszy pan omiatał wzrokiem swą jadalnię. Zabrało mu to wiele czasu. Bo jego wzrok zatrzymywał się na każdym przedmiocie, a każde takie spotkanie było nowym aktem miłości. Niekiedy łzy napływały mu do oczu, łzy radości. W tym domu wszystko opowiadało o godności tych, którzy go zamieszkiwali: o ich poczuciu miary, umiejętności dyskrekcji, skromności, upodobaniu do tradycji, którą ci ludzie potrafili sobie przekazywać, jeśli nie stracili dla niej szacunku. Starszy pan nawiedzał duchem także poustawiane w rzędach stare książki, wiejskie ławy, drewnianą figurę Dziewicy, wielkie trzcinowe fotele, deski podłogi, belki sufitu, Chrystusa z kości słoniowej udekorowanego suchym bukszpanem i setkę innych przedmiotów... Przedmioty kształtują człowieka lepiej niż gra idei i dlatego Zachód, który zaczął gardzić samym sobą, teraz stadnie wyległ

na drogi, uciekając na północ, bez wątpienia przeczuwając, że jest zgubiony i że przegrał, wydzielając zbyt wiele brzydoty i podłości, niewartych trudu obrony. Może to było jakieś wyjaśnienie?

O jedenastej wieczorem dziennikarz ORTF odczytał nowy komunikat:

„Z niejakim zdziwieniem rząd przyjął wiadomość o powszechnej ucieczce ludności z południa kraju na północ. Ubolewając nad tym faktem, wobec zaistniałej sytuacji rząd nie czuje się upoważniony, by odradzać miejscowej ludności takie zachowanie. Wydane zostały ściśle rozkazy żandarmerii i wojsku, aby przemieszczanie się ludności przebiegało sprawnie, z zachowaniem ładu, i aby nie utrudniało ono ruchów konwojów wojskowych, podążających z północy na południe kraju. W czterech departamentach nadmorskich został wprowadzony stan wyjątkowy, nadzorowany przez Jeana Perreta, sekretarza stanu i osobistego wysłannika prezydenta Republiki. Wojsko w miarę swych możliwości i w ramach rutynowych zadań ma zapewnić ochronę mienia pozostawionego przez obywateli. O północy prezydent Republiki zwróci się do narodu z uroczystym orędziem”.

I to wszystko. W społeczeństwie cierpiącym na słowotok, lakoniczność komunikatu była zastanawiająca. „Gaduły umierają w milczeniu?” – pomyślał profesor. Potem wziął jakąś książkę, nalał sobie kieliszek, zapalił fajkę i oczekiwał północy...

IV

Była to dziwna noc. Tak spokojna, że Nowy Jork nie pamiętał, by przez ostatnich trzydzieści lat przeżył równie spokojną noc. Central Park był pusty, wyludniony z tysięcy Kainów. Bez obawy mogłyby się tam bawić małe dziewczynki, blond aniołki, zaróżowione z radości, że pozwolono im wreszcie pograć w serso. Murzyńskie i portorykańskie getta spokojne jak świątynie. Doktor Norman Haller otworzył okna. Wsłuchiwał się w odgłosy miasta i nie słyszał nic. Zwykle o tej porze nocy dobiegały go przerażające dźwięki, które nazywał „symfonią piekielną”: nawoływania o pomoc, rozpaczliwe krzyki, tupot nóg, przerażające wrzaski, pojedyncze wystrzały albo strzelanina, policyjne syreny, dzikie śmiechy, kaskada tłuczonych szyb, niespokojne dźwięki klaksonu, gdy jakiś klimatyzowany cadillac, który zatrzymał się na czerwonym świetle, został nagle otoczony przez czarne sylwetki, potrząsające łomami, i potem te wszystkie: Nie! Nie! Nie! NIE! – wykrzykiwane pośród nocy, bez nadziei na pomoc i szybko dławione nożem, brzytwą, pałką, nabitą gwoździami maczugą, rękami, palcami...

Trwało to trzydzieści lat: wymowna statystyka, rosnąca z roku na rok aż po ostatnie dni, kiedy to krzywa wzrostu gwałtownie opadła i to do niemożliwego, jak się wydawało, poziomu zerowego, właśnie tej nocy! Trzydzieści lat bezsiły,

ale dr Norman Haller nie czynił sobie żadnych wyrzutów! Jako socjolog i doradca władz miejskich wszystko przewidział, bardzo dokładnie, jego raporty wzbudzały zaufanie, były uczone i nieskuteczne. Żadnego remedium: białego człowieka się nie zmieni, czarnego człowieka się nie zmieni, ponieważ jeden jest biały, a drugi czarny; nie wszystko da się wymieszać jak kawę z mlekiem. Jeden nie znosi drugiego, jeden drugim pogardza. Obaj się nawzajem nienawidzą. Socjolog stwierdza to – i się bogaci. Nowy Jork dużo mu zapłacił za jego monumentalne dzieło, którego celem było zbadanie powstałych spustoszeń i zasygnalizowanie tego, co nieuniknione.

– I nic nie można zrobić, doktorze Haller?

– Nic, panie burmistrzu, przynajmniej dopóki nie zabijecie ich wszystkich, jednych albo drugich, skoro nie można ich zmienić. A może pan potrafi?

– Psiakrew, nie potrafię! Możemy tylko czekać, aż to się skończy, i mimo wszystko próbować jakoś żyć...

Jakże piękny i komfortowy jest apartament Normana Hallera na dwudziestym piątym piętrze jednej z najwytworniejszych rezydencji w Central Parku! Chroniony przed tą dżunglą i odcięty od zewnętrznego świata: na dole w wielkim hallu było dwunastu uzbrojonych strażników, wszędzie detektory, niewidoczne promienie, groźne psy, dzwonki alarmowe, a garaż przypominał służbę, zwodzony most przez fosę, zawieszony między życiem i śmiercią, między nienawiścią i miłością, wieża z kości słoniowej, stacja kosmiczna, luksusowa twierdza. Ten raport – setki stron podpisanych przez najsłynniejszego amerykańskiego socjologa – kosztował straszne pieniądze, za które dr Norman Haller zbudował sobie doskonały świat w samym oku cyklonu i z tego miejsca obserwował burzę, która miała go ogarnąć. Whisky, kostki lodu, łagodna muzyka... „Kochanie, załóż tę ulubioną, tę śliczną, króciutką, którą nazywasz jeszcze spódniczką”... Telefon: burmistrz Nowego Jorku.

– Jesteś w smokingu, Jack? Betty w wieczorowej sukni, bardziej uwodzicielska niż kiedykolwiek, tak że sam jesteś zdziwiony? Trzecia whisky? Nie chcesz nikogo widzieć? Mała uroczystość bez szczególnego powodu? Jakiś nowy pomysł?

– Zgadza się! Ale skąd to wszystko wiesz?

– Znajoma dżungla zamilkła. Biały człowiek się boi. Bogaty i samotny, jak ci się wydaje, co ma robić w swym białym dostojństwie? Może tylko raz jeszcze celebrować swe beużyteczne bogactwo i swą cenną samotność. Twoje zdrowie! Słyszysz, jak grzechoczą kostki lodu w mojej szklance? Bakarat, Jack, i szkocka za sto dolarów! I te zielone oczy mojej żony: nigdy dotąd nie były aż tak zielone!

– Norman! Wszystko zależy od Francuzów, prawda? Myślisz, że oni będą zdolni zabić milion nieuzbrojonych przybłędów? Osobiście nie sądzę. I nowojorskie getta też w to nie wierzą. Ani te w Chicago, ani te w Los Angeles. Są jak barany prowadzone na rzeź. Potrafią już tylko słuchać wiadomości albo śpiewać i modlić się za tę nieszczęsną flotyllę w swych oszalałych kościołach. Norman, czy porwało cię kiedyś stado galopujących baranów?

– A wilk nie chce już być wilkiem, o to chodzi? Zatem rób jak ja, Jack, wypij kolejną szklaneczkę i pieść długo białą skórę swej żony. I czekaj.